Rocznik XIII. Kraków 1-go sierpnia 1905 Nr. 8.

NOWY DZWONEK

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 1-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek“ kosztuje w prenumeracie:

w **Austryi** na **rok: 3** korony (**1** złr. **50** ct.), na **pół roku: 1** koronę **50** halerzy (**75** ct.).

Razem zaś z ***Pielgrzymem*** kosztuje *Nowy Dzwonek* na **rok**: 5 koron (2 złr. 50 ct.), na **pół roku**: 2 korony 50 halerzy (1 złr. 25 ct). Do **Ameryki** na **rok**: 2 dolary. — Do **Niemiec** na **rok**: 5 marek.

Adres do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie ul. Wolska L. 28.

PŁACONE WROGI.

Dają się dziś słyszeć po miastach i wsiach częste narzekania na służbę męską i żeńską.

Bywało dawniej, że służąca lub służący służył państwu swemu wiernie przez kilkadziesiąt lat bez przerwy, a przez to tak zżył się z państwem, że jakby do jego rodziny należał. Dziś trzeba służbę dość często zmieniać, bo trudno z nią dłuższy czas wytrzymać.

Dawniejszy służący dbał o dobro swego państwa, jakby o swe własne, dzisiejszy zaś myśli tylko jakby skrzywdzić swego chlebodawcę. Niema u dzisiejszej służby ani przywiązania do chlebodawców ani wdzięczności najmniejszej ani troskliwości o ich dobro. A pod tym względem jednaka jest służba tak w i e j s k a jako i m i e j s k a. Parobek u gospodarza i fornal dworski, nie lepsi są od lokaja miejskiego i służącej miejskiej. Tak jedni bowiem jak i drudzy uważają chlebodawców za swych wrogów, a obowiązki swe spełniają zazwyczaj, ot, tak dla pozbycia się — jakby za pańszczyznę!

Rzadko dziś można spotkać służącego, a jeszcze rzadziej spotkać służącą życzliwą swemu państwu i wyraża-

jącą się o niem pochlebnie. Przechodząc ulicami miasta, zwłaszcza rano, gdy sługi idą do miasta na zakupno dzienne lub powracają do domów, widzieć można co trochę po dwie służące żywo ze sobą rozmawiające.

Gdybyś kochany Czytelniku niepostrzeżenie stanął koło nich i przysłuchał się ich rozmowie, tobyś usłyszał, jak to jedna i druga obmawia i oczernia swe państwo. Za mało im obmowy na mieście, więc wieczorem schodzą się jeszcze na podworcu kamienicy lub u stróża i tu każda znowu o niczem nie mówi tylko o swych chlebodawcach, naturalnie jak najgorzej.

Gdyby kto chciał uwierzyć tym obmowom, toby musiał osądzić dzisiejszych chlebodawców za ludzi nader złośliwych i bez sumienia, którzy nie mają litości nad biednemi sługami, tylko ich krzywdzą i pastwią się nad niemi.

W rzeczywistości jednak jest całkiem przeciwnie. Dzisiejsi chlebodawcy są daleko lepsi od dawniejszych, bo dają służbie lepszą zapłatę, lepszy wikt, i lepiej się ze służbą obchodzą. Zato zaś służba tak się odpłaca, że stawa się coraz krnąbrniejszą, coraz gorszą i coraz więcej wymagającą.

Wymagania dzisiejszych sług, zwłaszcza dziewcząt, są wprost nieraz śmieszne i niedorzeczne. Niedawno temu godziła pewna pani sługę na rynku w Krakowie, i pytała się ją co ona umie. Z odpowiedzi pokazało się, że nic nie umie, nic się jej robić nie chce, za to oświadczyła, że ona tylko do takiej pani się zgodzi, która wyjedzie w lecie na świeże powietrze, bo ona też chce wyjechać za granicę!!

Niezadługo zażądają może nasze sługi, by panie gotowały w kuchni i czyściły pokoje, a sługi siedzieć będą w pokojach i grać na fortepianie. Nie wiadomo, czy się śmiać z dzisiejszych sług, czy ubolewać nad ich głupotą.

Zapomina taka sługa, że gdyby nie chlebodawcy, toby była na wsi dawno może z głodu zginęła. Siedziało to na wsi za piecem zamurdzane, głodne, obdarte, a dziś w mieście stroi się, ma co jeść — i jeszcze jej wszystko za mało, choć praca dzisiejszych sług dość często ani połowy tego nie warta, ile jej za nią płacą.

Pismo święte mówi: że „nieprzyciółmi człowieka — domownicy jego“. Jeżeli kiedy można

było te słowa zastósować do sług — to szczególnie dziś one się do nich odnoszą, bo rzeczywiście dzisiejsze sługi, to wrogowie człowieka, a do tego płatni — bo się im płaci, daje się im środki do życia, a oni zamiast okazać za to jaką taką życzliwość i przychylność, nienawidzą i oczerniają tych, którzy im dobrze czynią.

Że postępowanie dzisiejszych sług nie jest chrześcijańskie, to rzecz jasna, bo wiara chrześcijańska jak z jednej strony każe chlebodawcom nie krzywdzić sług, tak z drugiej strony nakazuje sługom, by wiernie spełniali swe obowiązki, by kochali swych bliźnich, i by szanowali i słuchali swych przełożonych i chlebodawców.

O tych atoli obowiązkach dzisiejsza służba zapomina, natomiast pracuje coraz mniej i coraz gorzej, a żąda coraz większej zapłaty i w dodatku odpłaca się swym chlebodawcom najczęściej czarną niewdzięcznością, dlatego do wiele sług śmiało nazwać można płaconymi wrogami! — a to chyba im zaszczytu nie przynosi i od takiego zaszczytu uwolnić się służba powinna przez wierne i pilne spełnianie obowiązków i przez większą życzliwość dla chlebodawców, zwłaszcza dla chlebodawców dobrych — a takich dziś, dzięki Bogu, nie brak.

JAN ZAMOJSKI.

(Wspomnienie historyczne w 300-letnią rocznicę jego śmierci).

Król Stefan Batory rozesłał listy zapraszające panów na sejm do Warszawy, pospieszyli wszyscy, lecz niechętnie: chmurne były twarze tych, którzy zasiedli krzesła i ławy w sali obrad.

— Wiadoma rzecz, poco nas zwołał — szeptali do siebie — sławy mu się chce, zażąda podatków na utworzenie nowych zbrojnych zaciągów.

— Na co nam ta wojna, lepiej niech gospodarstwa wewnętrznego Rzeczypospolitej pilnuje, a my domów własnych — mówili drudzy.

— Wielka rzecz, choć stracimy Inflanty, nie mieliśmy ich dawniej i dobrze było — dodawali inni.

Wtem u drzwi sali dał się słyszeć szmer, to król wszedł, otoczony kilku panami, więc umilkli. Wolnym, majestatycznym krokiem Batory postąpił ku tronowi, wszedł na stopnie i czapkę zdjąwszy, powitał zebranych, podnieśli się z krzeseł, na ukłon odpowiedzieli, lecz nie rozjaśnili twarzy.

Sroga pani-zima wstrzymała nasze pochody zwycięskie — odezwał się król spokojnym i silnym głosem — wróciwszy przeto do domu, nie sądźcie jednakże, iż po to, by odpoczywać; wróciliśmy, aby czynić przygotowania do nowych bojów; dlatego wezwałem was, panowie, boć bez was nic nie dokonam; wspólnemi tylko siłami działać możemy: amunicya wyczerpana, broni i ludzi brak, potrzebuję pieniędzy i rąk ochotnych, coby chciały za szablę pochwycić i stanąć w obronie sprawy wspólnej nam matki ojczyzny.

— Inflanty, to nie ojczyzna nasza — ktoś mruknął.

— U nas grosz wyczerpany — odezwało się kilku razem.

— Pragniemy pokoju — dorzucili inni.

— Królom wojna sławy przysparza, to wołają o nią; nas ino ranami obdarza i stratą synów — rzekło paru.

Batory milczał, okiem wymówki tylko spoglądał po wszystkich; więc taka spotykała go nagroda za to, iż narażał swe życie dla tej ziemi, która nie jego wszakże była ojczyzną; ale tych, których tutaj na radę powołał.

Szemrania rosły, coraz więcej odzywało się nieprzychylnych głosów, Batory był zdziwiony i rozżalony jednocześnie, wtem podniósł się mąż wspaniałej postawy i począł mówić:

— Ażaliż w Polsce jestem, chyba nie?... Polak kochał zawsze swoją ojczyznę więcej, niż siebie, niż swą chatę, niż rodzinę swoją, chyba w zepsutym Rzymie jestem, w tym Rzymie, który zgubiła prywata własnych obywateli, co rozsiadła się w sercach Rzymian, jako chwast szkodliwy i cnoty wszelkie zagłuszyła. Chcecież takim samym grzechem obarczyć wasze sumienia, grzechem matkobójcy? Cóż to, nie rozumiecie, że wojna, jaką prowadzimy, jest konieczną; że otoczeni jesteśmy potężnymi sąsiadami, że chcąc, by nas szanowali, musimy bronić dzielnie naszej własności; że jeśli raz słabi się oka-

żemy, to ośmielimy ich i wyciągną chciwe dłonie po nasze mienie i nie tylko Inflant zapragną, lecz Pomorze, Prus, a kto wie, czy i całej naszej ziemi zdobyć nie zamarzą.

Głos zamarł mu na ustach, wzruszenie przerwało słowa, król spojrzał nań z wdzięcznością, salę cisza zaległa, zebrani spuścili wzrok, czuli w sercach budzące się wyrzuty sumienia, lecz jeszcze walczyli z egoizmem, tymczasem tamten zabrał znowu głos:

— Pokoju żądacie, bo milsze wam miękkie łoże, niż szczęście ojczyzny; zamożność własnego domu, niż potęga Rzeczypospolitej; całość rodziny, niż całość państwa waszego; bo nie myślicie o tem, że gdy upadnie Rzeczpospolita, to gniazda wasze runą, że gdy matka nasza wspólna pójdzie w niewolę, to i na nas pęta nałożą. Ażaliż nie wstyd wam, że ten król, który synem tej ziemi nie jest, lepiej ją od was miłuje, że lepszym, wierniejszym jest od was; na was świecą klejnoty i złoto, na nim pył i proch wojny, wasze twarze spoczynek wyrażają, jego trudy przebyte. Biada, biada dzieciom, które nie dbają o matkę, grom boży wisi nad takimi; zamiast sarkać na króla, padnijcie mu raczej do nóg i podziękujcie, że przypomina wam święte wasze obowiązki, że spełnia to, co wyście zaniedbali.

Umilkł znowu, a zebrani spojrzeli na króla i teraz dopiero spostrzegli, iż twarz jego nosiła ślady znużenia, że włos jego pobielał, iż zmarszczek przybyło mu na czole, a to wszystko dla dobra ich ojczyzny i głos samolubstwa umilkł w ich sercach.

— Licz na nas, królu: w sprawie, gdzie idzie o honor i dobro naszej ziemi, nie odstąpimy cię, to wspólna nam sprawa — odezwało się paru, a za tym krzyknęli wszyscy jednym zgodnym głosem:

— Licz na nas królu!

Tym mężem, który skruszył sumienie zebranej na sejmie szlachty, który piękną mową rozgrzał uśpione uczucie miłości ojczyzny, był J a n Z a m o j s k i. Kochał on szczerze swoją ojczyznę, zawsze i wszędzie bronił dzielnie jej sprawy; wolał nieraz narazić się na gniew innych, obrazić najpotężniejszych, byle krzywda jego ziemi się nie stała, i teraz lubo szlachta nie miała ochoty dać pieniędzy

na wojnę, on uznawszy, że ta wojna jest potrzebną, skarcił publicznie zgromadzonych na sejmie i skłonił ich, iż zgodzili się na nowe podatki.

Dobro własne kładł zawsze Zamojski na drugiem miejscu; pierwej pytał: co trzeba czynić, aby Polska była



Jan Zamojski.

potężną, bogatą, szczęśliwą, a potem dopiero o własnej rodzinie myślał, za to też królowie cenili go i coraz wyższymi urzędami obdarzali. Król Zygmunt August oddał Zamojskiemu pod opiekę archiwum koronne, Stefan Batory uczynił go swoim kanclerzem, hetmanem wojsk i dał mu własną synowicę, piękną Gryzeldę, za żonę. Zamojski umiał być wdzięcznym za tyle łask, jak widzimy, bo całem sercem służył królowi. Nie był to jednak zgięty słu-

żalec, który przed możnym się zgina, bo od niego zależy. Cenił on rozum i siłę Batorego, wierzył, iż pragnie dobra państwa i dlatego go popierał; w istocie Stefan Batory był jednym z największych monarchów polskich i dużo dobrego dla kraju zrobił.

Po śmierci tego dzielnego króla, Zamojski razem z królową Anną postanowili osadzić na tronie Zygmunta III., rodzonego siostrzeńca Anny, syna jej siostry Katarzyny, żony króla szwedzkiego Jana. Zamojski poparty przez przyjaciół, przeprowadził swoją wolę: na tronie krakowskim zasiadł Zygmunt III. Waza, lecz druga partya w kraju obrała Maksymiliana, arcyksięcia Austryi; ten zbrojno począł dopominać się o swoje prawa. Zamojski wyruszył przeciw niemu z wojskiem i przekonał rodaków, że nie tylko walczyć słowami i zwyciężać potrafi, ale i orężem, odniósł bowiem zwycięstwo nad Maksymilianem pod miasteczkiem Byczyną na Śląsku i wziął go do niewoli. Dumny Maksymilian, gdy go Zamojski przyprowadził do własnego pałacu do Zamościa i na obiad zaprosił, nie chciał usiąść z nim razem do jednego stołu, hetman kazał mu przeto nakryć przy osobnym, lecz by pamiętał, że jest jego jeńcem, opasał ten stół łańcuchem.

Zygmunt III. wybrany i poparty przez Zamojskiego, zawiódł jego nadzieje, przekonał się niebawem zacny ten mąż, iż ufać mu nie można, bo dobro państwa jest mu obojętne; postanowił przeto pilnie czuwać nad krajem i nie myśląc o tem, że może łatwo stracić godności, jakiemi Batory go obdarzył, czynił nieraz ostre wymówki nowemu panu.

Gdy Zygmunt III. zawiązał tajemną korespondencyę z arcyksięciem Austryi i obiecywał listownie, że ustąpi mu koronę Polski, jeśli arcyksiążę przyrzeknie, iż zostawszy królem Polski, podaruje Szwecyi Inflanty, Jan Zamojski, oburzony na króla, iż szafuje tem, co nie jest jego własnością, lecz państwa, publicznie na sejmie skompromitował Zygmunta i wobec wszystkich przeczytał ów list, który przypadkiem wpadł w jego ręce i ostre czynił wymówki królowi za takie postępowanie. Jednakże potem, kiedy rozżalona szlachta na Zygmunta, burzyć się przeciw niemu poczęła, i posłuszeństwo wypowiadała, Zamojski skarcił surowo szlachtę i pokój utrzymał w kraju.

Szanowali go, cenili i kochali tak królowie, jak panowie i szlachta, to też słuchali jego rad wszyscy. Obcy poważali go również, monarchowie sąsiednich krajów ofiarowywali mu tytuły hrabiowskie i książęce, nie przyjął jednakże żadnego Zamojski, mówiąc, iż nie łaknie obcych godności, bo w kraju własnym dość posiada.

* * *

Jan Zamojski urodził się roku 1541 z rodziny szlacheckiej, ojciec jego był kasztelanem chełmskim; pierwsze nauki odbył w Krasnym-Stawie, następnie pojechał do Włoch do Padwy, tam wstąpił na uniwersytet i przeszedł dwa wydziały: filozoficzny oraz prawny, a skończył oba tak chlubnie, iż mianowanym został rektorem uniwersytetu i lat kilka urząd ten sprawował. Powrót jego do kraju poprzedziła sława uczonego, witali go rodacy jako męża rozumnego, który pożytecznym stać się im może, i nie zawiódł nadziei rodaków Zamojski. Zasłynął on wkrótce jako znakomity pisarz i mówca, zacny obywatel, wielki uczony i dzielny wódz, oddał niezapomniane nigdy usługi krajowi, to też śmierć jego powszechny żal wywołała; umarł Zamojski r. 1605, żył więc lat 64, a żył nie próżno, bo wiele dobrego spełnił na ziemi.

I rodzina jego zawdzięczała mu wiele, bo wyniósł ją własną zasługą do najwyższego stanowiska w kraju, założył ordynację na Zamościu dla syna swego i nazwisko swe sławą nieśmiertelną ozdobił. Śladami jego szli potomkowie, ród ten wydał jeszcze niejednego zacnego i zdolnego męża, któremu dobro kraju było milsze, niż własne.

JENIEC TATARSKI.

(Dokończenie).

Ciężka walka powstała w sercu biednej kobiety. Uczucie obowiązków dla dziecięcia przemogło wreszcie. Wziąwszy więc dziecię na rękę i poleciwszy opiece Bożej walczących, pod przewodnictwem Bożymira puściła się Wiżenna w gronie kilku niewiast w ciemne, wilgotne obszary, w których dawno nie postała ludzka stopa.

Z początku krzyki walczących dochodziły uszu podziemnych wędrowców, lecz zwolna, gdy posuwali się coraz dalej, wszystko umilkło i głucha nastała cisza, przerywana jedynie syczeniem palących się pochodni i odgłosem własnych ich kroków. Siły opuściły Wiżennę w tem ponurem, grobowem milczeniu. Stanęła i pochyliła głowę na ramię jednej z kobiet, a potem zsunęła się zwolna na wilgotną ziemię.

— Czyż nie macie odwagi spełnić do końca rozpoczętego dzieła? rzekł Bożymir, chcąc ją zachęcić do dalszej drogi.

— Nie, nie mogę iść dalej, wszak i tutaj syn mój bezpieczny, a sama bliżej jestem męża, wyszeptała słabym głosem; mamy zapas smolnych pochodni, a kobiety moje zaopatrzyły się w żywność choćby na dni kilka...

— A pomoc dla załogi, którą otrzymać mieliście?

— Wy zarówno ją uzyskać możecie u rodzica mego, idźcie tylko spiesznie w imię Boże!

— Przyrzekłem małżonkowi waszemu, że was nie odstąpię...

— Ale skoro mi sił braknie, aby iść dalej? Mamże zginąć wraz z dziecięciem w tych ciemnych podziemiach, a kasztelan wraz z załogą wpaść w ręce tatarskie, gdy nas możecie wszystkich ocalić? Spieszcie, spieszcie, bo czas ucieka, dodała błagalnie, składając dłonie...

Młodzieniec nie mógł stawiać oporu dłużej, tem bardziej, że czas naglił, pospieszył więc w milczeniu w dalszą drogę.

Po kilkogodzinnej mozolnej wędrówce, w której zaledwie spoczywał chwil kilka, Bożymir dosłyszał gwar i szczęk broni. Niepokój jakiś ogarnął go. Czyżby miejsce, gdzie miał szukać pomocy, również było zagrożone niebezpieczeństwem?

W rzeczy samej przeczucie nie omyliło go, i tu byli Tatarzy, którzy, zniszczywszy jeszcze poprzednio Zawichost, zabawiali się teraz przy Sandomierzu, paląc i mordując dokoła.

Bożymir pobiegł dalej i niezadługo wyszedł na świat wśród cierniem zarosłego parowu. Dostrzegł teraz całą grozę położenia, ale nie dał się niczem odstraszyć i wśród samych niebezpieczeństw zdołał zręcznie przedrzeć się do

wojewody sandomirskiego, Pakosława, by uwiadomić go o smutnem położeniu jego najbliższych krewnych.

*
* *

W tym samym czasie Świętosław ani na chwilę nie spuszczał z oka obrony zamku, obecnością swoją dodając odwagi walczącym. Jakoż pod osobistem jego przewództwem odparli mężni Międzygórzanie już kilka razy najezdzców, cisnących się przez wyłom. Udało się też oblężonym założyć otwór stosem belek i kamieni, przesypywanych ziemią.

Wycieczka dla obalenia części murów dużo kosztowała Tatarów. Nie ufając własnej sile, bo na zdobycie zamku międzygórskiego wyszedł tylko zagon Tatarów, postanowili pohańcy nie przypuszczać już nowego szturmu, dopóki im nie nadejdą spodziewane z pod Sandomierza posiłki. To dało znów chwilę wypoczynku oblężonym i pozwoliło im nadto nadwerężoną podczas boju obronę zamku na nowo wzmocnić.

Nadbiegła w kilka dni po zniszczeniu Sandomierza krwi chciwa horda, lecz tuż za nią, dzięki odważnemu Bożymirowi, przybył zakże na czele rycerstwa sandomierskiego mężny wojewoda Pakosław. Parci z dwóch stron najezdnicy pierzchli wkrótce, pozostawiając pole trupami zasłane; załoga zamkowa wraz z przybyłymi wojownikami zanuciła dziękczynną pieśń zwycięską.

W chwili gdy przebrzmiały ostatnie jej słowa, weszła Wiżenna i uklękła poza modlącymi się. Nie mogąc już dłużej znieść niepewności, porzuciła bezpieczne ukrycie, a dziecię pozostawiła pod strażą wiernych służebnych.

— Daruj mi, wyrzekła, gdy mąż witał ją radośnie, daruj, że nieposłuszną byłam twoim rozkazom — wszakże Bożymir, wysłany w mojem miejscu, sprawił się wiernie?

— Nie mogłaś wybrać lepszego posła, rzekł na to wojewoda Pakosław, dosłyszawszy słów córki. Przedarłszy się do mnie przez płomienie i strzały aż do tej chwili walczył mężnie przy mym boku. — Ale gdzież on jest? — Niech cię uściskam! rzekł, zobaczywszy stojącego opodal skromnego młodzieńca.

Nazwisko jego było teraz na ustach wszystkich, w całym obozie opowiadano sobie o dzielnym jeńcu tatarskim i imię jego stało się głośnem.

Tymczasem Bożymir, lubo wewnętrznie zadowolony, że mógł się przyczynić do zwycięstwa, wśród ogólnej radości stał smutny i przygnębiony, bo miał ciągle na myśli drogich rodziców; nie wiedział co się z nimi wśród ogólnego popłochu dzieje. Radby pospieszyć teraz do nich, lecz zacne chęci musiał powstrzymać jeszcze, bo dzielny wojewoda sandomierski zamierzał ścigać pierzchających Tatarów.

* * *

Nie było człowieka, którvby nie pragnął bronić świętej wiary i wolności, więc po krótkim wypoczynku, na rozkaz: „siadać na koń! i w pogoń!“ zwycięskie hufce puściły się z ochotą za nieprzyjacielem.

Dognano go pod Chmielnikiem. Zrazu dobrze się wiodło Polakom, ale Tatarów była ćma wielka, zgnietli więc garstkę obrońców; dowódzca sam, mężny wojewoda Pakosław, poległ śmiercią walecznych. Atoli, choć od Tatarów zwyciężeni, dali im się Polacy pod Chmielnikiem dobrze we znaki, przełamali pierwsze ich zapędy — powstrzymali w biegu. Tatarzy stracili tu dużo ludzi, nadto znaczna część jeńców znalazła w czasie bitwy sposobność do umknienia w lasy przyległe i szczęśliwie uszła niewoli. Świętosław z Bożymirem także uszli pogoni, ale nie na to, aby gdzie w zakątku ukryć się i przeczekać srogą burzę, lecz dlatego, by pokrzepieni do dalszej stanąć walki.

Wieść o klęsce, poniesionej pod Chmielnikiem, przejęła trwogą mieszkańców Krakowa i tych, którzy się tam schronili. Poczęli więc wszyscy uciekać, tak, że w całem mieście zostali tylko starce, kaleki i kobiety z małemi dziećmi, chroniąc się w dobrze obwarowanym kościele świętego Andrzeja i oczekując tam z rezygnacyą nadejścia pogan. Bolesław z małżonką swoją Kingą szukali schronienia na Węgrzech.

Na widok pustych ulic i domów zawrzał Batu-Chan strasznym gniewem. Spodziewał się znaleźć skarby i ludzi, którychby pobrać mógł do niewoli, i zastał gołe mury

tylko. Widząc tedy, że w Krakowie niema na co łaszczyć się, kazał opustoszałe miasto podpalić, poczem nawała tatarska, co jak powódź niepowstrzymana szeroko rozlała się po Polsce, rozdzieliła się na dwie części. Jedna pod wodzą samego Batu-Chana zboczyła ku Węgrom, druga puściła się ku Śląskowi.

Pod Lignicą wojska chrześcijańskie, złożone z Ślązaków, Morawców, Czechów i rycerzy Krzyżowych zastąpiły drogę czerni mongolskiej. Tam stanęli także Polacy, którzy uszli przed Tatarami z pod Turska i Chmielnika, tam znaleźli się znowu nasi mężni wojacy, Świętosław i Bożymir, gotowi umrzeć za wiarę i ojczyznę.

Na polach lignickich przyszło do strasznej walki. Nasi bronili ziemi rodzinnej do ostatniej kropli krwi, lecz wobec przewagi tatarskiej i tu ulegli przemocy. Wielka liczba chrześcijan padła na miejscu, a między nimi sam dowódzca, książę Henryk Pobożny. Znowu więc przegrali chrześcijanie, ale i Tatarzy drogo opłacili zwycięstwo lignickie. Nasyceni łupem i krwią przelaną, posunęli się Tatarzy dalej, atoli wysileni snać walką, cofnęli się niezadługo ku Donowi i Wołdze.

*
* *

Przeminęła tatarska nawała, wrócili obrońcy do swych zagród, ale jakiż to okropny obraz zniszczenia przedstawił się teraz ich oczom! Wsie i miasta zburzone i popalone, kościoły wspaniałe i zamki obronne w gruzach, a ludność częścią wymordowana lub w niewolę wzięta, częścią w jarach niedostępnych tułająca się, bez chaty, dobytku, przyodziewku i wszelkiego pożywienia.

Bożymir przez cały ciąg groźnego napadu tatarskiego towarzyszył Świętosławowi, to też polubił serdecznie młodego kasztelana i trudno mu było rozstać się z nim, aby nie wstąpić do Międzygórza na pożegnanie z Wiżenną, która czasu jego wydobycia się z niewoli tak czule go pielęgnowała.

Możemy sobie wyobrazić, z jaką radością powitała obydwóch Wiżenna i jak znów boleśnie dotknęła ją wiadomość, gdy na zapytanie: „a ojciec gdzie?“ dowiedziała się o zgonie mężnego Pakosława pod Chmielnikiem.

Po dwóch dniach pobytu na zamku międzygórskim, które na opowiadaniach przygód i różnych szczegółów z wyprawy szybko minęły, postanowił Bożymir pożegnać się z swymi dobroczyńcami, aby co rychlej powitać rodziców, o których losie znikąd żadnych nie mógł zasięgnąć wiadomości.

Z bijącem sercem wracał Bożymir ku stronom rodzinnym, raz po raz zalewając się łzami nad niedolą i nędzą srodze zniszczonej polskiej krainy. Wzruszony głęboko ani się spodział, jak stanął przed parkanem rodzinnej zagrody.

W tejże chwili cierpienia niewoli i trudy wojenne znikły jak sen przed oczyma Bożymira, wobec radości, jakiej doznał, posłyszawszy słowa powitalne lubej matki: „Chwała niech będzie Bogu, że mi dozwala jeszcze powitać ciebie, kochany synu, i wielbić wraz z tobą cudowną łaskę Jego Opatrzności!“

CZARNA MISKA.

(Legenda japońska z XVI-go wieku).

Żyło sobie niegdyś małżeństwo, para staruszków, spokojnie pędzących ostatnie dni żywota. Niegdyś słynęli bogactwem, na starość, zrządzeniem losu, byli tak biedni, że z ledwością zarabiali na kawałek chleba.

Jedyną ich radością, weselem starych oczu, była córka dziewczyna cudownej piękności.

Na nieszczęście zdarzyło się tak, że starzec zachorował i umarł. Pozostałej wdowie z córką życie stało się jeszcze trudniejsze, tem więcej, że niezwykła piękność córki bardzo niepokoiła staruszkę, codzień traciła siły i to powiększało jej zmartwienie, gdyż wiedziała dobrze, że cudowna uroda dziewczyny prędzej wyjdzie jej na złe, aniżeli na dobre.

Nadszedł wreszcie dzień ostatni dla wdowy. Wezwała do łoża śmiertelnego córkę i zaklinała ją, aby na całe życie pozostała cnotliwą. Zarazem włożyła jej na głowę drewnianą, czarną miskę, która zasłoniła zupełnie piękną twarzyczkę dziewczyny i rzekła:

— Nigdy w życiu nie zdejmuj przy ludziach z głowy jej miski. Jeżeli tylko spostrzegą twą urodę, czeka cię nieszczęście.

Wdowa zmarła i sierota zajęła się ciężką pracą przy roli, aby się wyżywić i spełnić przykazanie matki. Z powodu niezwykłego kapelusza nazwano ją „czarną miską“. Ludzie zuchwali i źli nieraz przemocą chcieli zajrzeć pod miskę, aby zobaczyć twarz dziewczyny, lecz napróżno. Dziewczyna była obdarzona siłą niezwykłą i umiała się bronić.

Pokornie znosiła szyderstwa i żarty złych ludzi: bez szemrania oddawała się ciężkiej swej pracy.

Zdarzyło się, że raz przybył na pole samuraj (szlachcic japoński), właściciel majątku. Zgrabna figura i skromny wygląd robotnicy zwrócił jego uwagę i zaproponował jej, że weźmie ją do domu swego, aby doglądała jego chorej żony. — Dziewczyna się zgodziła.

Wkrótce państwo nie mogli się dość nachwalić nowej służącej, tak umiała zaskarbić sobie ich względy swą pracowitością i życzliwością.

Ale razu pewnego przybył do domu rodziców starszy syn samuraja ze stolicy Kiota. Zobaczywszy nową służącą, zapragnął zobaczyć jej twarz i wreszcie to mu się niechcący udało. Gorące serce młodego samuraja zapłonęło gwałtowną miłością ku dziewczynie. Wyznał swe uczucia rodzicom, lecz ci ani słuchać nie chcieli o małżeństwie syna z biedną służącą.

W domu rozpoczęły się kłótnie i niezgoda. Stare ciotki usiłowały zniechęcić młodego samuraja, przypominając jej ubóstwo i niskie pochodzenie. Zapewniały, że owa dziwaczna czarna miska kryje kalectwo i szpetność. Lecz zakochany młodzieniec nie dał się przekonać.

Dziewczyna nic nie wiedziała o zamiarach i uczuciach młodego pana, a tem bardziej nie zdradzała niczem, że i jej serce zabiło miłością. Kryła w głębi duszy cierpienia uczucia bez wzajemności. Wreszcie, nie chcąc być przyczyną nieporozumienia pomiędzy ukochanym a jego rodziną, postanowiła opuścić dom samuraja na zawsze.

Zanim jednak zdążyła zamiar swój urzeczywistnić, ujrzała we śnie matkę, która przykazała jej, aby nie odmawiała ukochanemu i została jego żoną. Można sobie

wyobrazić radość młodzieńca, gdy nazajutrz, na oświadczyny jego, dziewdzyna odpowiedziała: „tak“.

Rodzina przestała się opierać i małżeństwo stało się faktem dokonanym. Podczas uczty weselnej narzeczony począł usilnie prosić pannę młodą, aby zrzuciła z głowy drewnianą miskę i nawet schwytał go rękoma, aby odsłonić twarz. Lecz dziewczyna wybuchnęła tak rzewnym płaczem, że młodzieńcowi zabrakło odwagi do spełnienia zamiaru.

Nadeszła wreszcie chwila, gdy według zwyczaju japońskiego, młodym przed pożegnaniem gości, dają do wypicia trzy razy po trzy łyki gorącej saki (wódki ryżowej). Gdy panna młoda po trzecim łyku oddała czarę oblubieńcowi, nagle dał się słyszeć trzask i czarna drewniana miska spadła z jej głowy, rozsypując się na tysiące kawałków. I, o cudo, zamiast wiorów na podłodze, zabłysnęły najpiękniejsze rubiny i inne drogie kamienie. Lecz nad kosztowności, nad balsk kamieni, cudniejsza była twarzyczka oblubienicy. — Obecni osłupieli ze zdumienia i zachwytu, nawet ciotki spiesznie zapewniały, że nigdy nie wątpiły o nadzwyczajnej urodzie nowej siostrzenicy.

I nigdy chyba w całej Japonii żadna uroczystość nie zakończyła się tak wesoło i radośnie, jak uczta weselna młodego samuraja i pięknej „czarnej miski“.

Matką Boska Zielna.

Niezwykły urok posiada to święto w drugiej połowie lata, gdy sprzęt żyta i pszenicy ukończony, sady stoją obciążone dojrzewającym owocem, a nad skoszonemi łąkami unosi się orzeźwiająca woń wysychających w słońcu pokosów.

Dnia tego pobożny lud dąży do kościołów z pękami ziół, aby je poświęcić. Niesie zioła i trawy żywiące bydło i te, których sam używa w różnych dolegliwościach i kwiaty łąkowe i kwiaty zdobiące małe ogródki pod białemi, strzechą krytemi chatami. Święto naprawdę „kolorowe“. Kobiety i dziewczęta, w krasych, barwnych chustkach i su-

tych gorsetach niosą ogromne bukiety ziół woniejących, spiesząc po białych gościńcach tam, skąd rozlega się donośne wołanie dzwonów.

Zbieranie ziół po miedzach, łąkach i ugorach rozpoczyna się już na dzień lub dwa dni przed świętem Wniebowzięcia. Dziewczęta wyszukują je pilnie, każda chce mieć jak największe bukiety; chłopcy kręcą batogi z konopi do popędzania koni, jeśli trzeba będzie wozem jechać do oddalonego kościoła. Starym batem w dniu tym popędzać nie wypada.

W chatach wiążą uzbierane zioła, wśród których znajdują się „szczoteczki Najświętszej Panienki“, „korona Pana Jezusa“ (kwaśnica), żółta przytulia, mięta ogrodowa, bylica, macierzanka, kalina, biedrzeniec, ptasia mięta, dzika marchew, rozchodnik, boże drzewko, „warkoczyki Matki Boskiej“, dziewanny, dzwonki i t. p.

Jako ozdobę wkładają w środek bukietów słoneczniki, proso tureckie, astry, malwy, kłosy żyta, pszenicy, kilka gałązek grochu. W niektórych wsiach do środka wkładają jeszcze krzaczki kapusty, jabłka i gruszki. Gdzieniegdzie zioła te związują batem, uważanym potem za środek przeciw bólowi gardła, które nim obwiązują.

W zachodniej części kraju zioła niosły dawniej do kościołów przeważnie kobiety i dziewczęta; bywały jednak wsie, gdzie z ziołami tylko chłopcy jechali do kościoła. Teraz we wielu miejscowościach nie przestrzegają już tej wyłączności: i dziewczęta i chłopcy niosą zioła do święcenia.

Po poświęceniu ziele bywa używane do różnych celów; gdzieniegdzie stawiają je do kapusty, dla zabezpieczenia jej od gąsienic, używają go też do okadzania krów, gdy chorują. To samo czynią na wiosnę, przy pierwszem wypędzaniu bydła na świeżą paszę, aby je zabezpieczyć od wszelkich czarów. Powszechny jest też zwyczaj dawania odwaru z święconych ziół krowom po ocieleniu. Podczas grzmotów i burzy kadzą w chatach święconą leszczyną i dzwonkami. Jeżeli znajduje się w zbożu dużo ostu, z powodu czego źle żąć, wówczas wyrywają jeden krzak ostu w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, oświęcają go w kościele wraz z innemi ziołami, a po powrocie z kościoła wsadzają w polu korzeniem do góry, wierząc, że na przyszły rok ostu tam nie będzie.

W wielu wsiach jest zwyczaj święcenia w dniu Wniebowzięcia wieńców, uwitych ze zbóż i ozdobionych kaliną, kwiatami i wstążkami, które bywają potem wieszane pod okapami chat. Dziewczęta, powróciwszy do domu, śpiewają różne piosenki:

U naszego pana zielony podworzec
Pani gospodyni ma pieniędzy korzec.
Korca ich ta niema,
Skądby ich ta wziena?
Ale jest pół korca,
Gdzieby ich podziała?

Gdzieindziej śpiewają:

U naszego pana gęsty sad, gęsty sad,
Nie przeleci go żaden ptak, żaden ptak,
Ale go ta przeleci skowronek, skowronek,
La naszej pani przyniesie nam wianek, nam wianek.

A nie tęgi mój wianecek, nie tęgi,
Obiecała nam pani na wstęgi, wstęgi,
Polowy dostanie kopniska, kopniska,
By podcinał dobrze dziewczyska, dziewczyska.

Karbownikowi okruski, okruski,
Bedzie miał la czeladzi na kluski, na kluski,
A stróżowi nic nie dać, nic nie dać,
Bo nie chciał gromady doglądać, doglądać.

Żarliwość w modlitwie.

Jak żarliwymi w modlitwie byli pierwsi chrześcijanie, to świadczą o tem ich nocne czuwania, czyli wigilie, gdyż całą noc poprzedzającą uroczyste święta, przepędzali razem na wspólnej modlitwie.

Dla ich żarliwości nie było przykrem poświęcać całe godziny na modlitwie w podziemnych pieczarach, wśród wilgotnego i ciężkiego powietrza.

Tertulian mówi, że pierwsi chrześcijanie modląc się, często swe ręce rozciągnione trzymali, aby naśladować Zbawiciela, który modlił się na krzyżu z rozciągnionemi rękami. Modlić się siedząc, nie było we zwyczaju u pierwszych chrześcijan.

O świętym Jakóbie Młodszym świadczy święty Hieronim, że ten święty Apostoł tak ustawicznie modlił się klęcząc, że skóra jego na kolanach stwardniała, jak u wielbłąda.

Święty Antoni, pierwszy z pustelników, często całą noc przepędzał na gorących modlitwach, gniewał się, gdy już świtać zaczynało i wschodzącemu słońcu wyrzucał: „O słońce! pocóżeś już weszło znowu? Odrywasz wzrok mój od nierównie piękniejszego słońca!“

Święty Marcin, Biskup turoneński, modlił się i wtedy nawet, gdy się zajmował pracą ręczną. A gdy już leżał na śmiertelnej pościeli, i członki jego zimno śmiertelne lodem ścinało, widziano jeszcze, że ustami poruszał, odmawiając cichą modlitwę.

Święta Małgorzata, królowa szkocka i swięty Stefan, król węgierski, prawie całą noc trawili na modlitwie.

MAZUR.

Krzeszą żwawe parobczaki
Iskry podkówkami,
Płyną w pola mazowieckie
Śpiewki za śpiewkami.

Stara karczma aż się trzęsie,
Szumią bory w dali:
Ej, ostrożnie, parobczaki,
Bo się świat zawali!...

A niechże się i zawali
Nie będziem żałować,
Świat zwalony, nie zgubiony
Można odbudować.

Hej, siarczyście rznij naszego,
Czyś głuchy, czyś niemy?
My, mazurskie parobczaki
Świat odbudujemy.

Jak topole nasze chłopcy,
Dziewki, jak sasanki:

Niemasz w świecie nad Mazurów,
I nad Mazurzanki.

Choćbyś szukał przez trzy lata
Z Warszawy pod Kraków,
Nie obaczysz żwawszych dziewcząt,
Swarniejszych chłopaków.

Oj, ty ziemio mazowiecka,
Szczera nasza ziemio!
Bujnie wschodzą twoje zboża,
W dziesięćkroć się plenią.

Oj, ty ziemio mazowiecka
O rodzajnej glebie!
Lepiej spocząć w twojem łonie,
Niż pożegnać ciebie.

W niewoli japońskiej.

Jeńcy polscy z armii rosyjskiej, którzy dostali się do niewoli japońskiej, wcale nie narzekają na tę niewolę, owszem w listach pisanych do rodzin swoich w Królestwie chwalą Japończyków, jako ludzi szlachetnych, a skarżą się tylko na to, że im się przykrzy wielce, bo nie mają się czem zająć.

Przytaczamy tu dwa listy. Jeden z nich podany przez *Gońca* warszawskiego, tak opiewa:

„Przemawiam do was w te słowa, kochani rodacy, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a spodziewam się, że mi odpowiecie: na wieki wieków amen“. — Radbym wam donieść, chociaż z tysiąca jedno słowo. Moja ręka od kosy i pługa niezdolna pisać dobrze, jednakże parę słów wam skreślę, choć niedołężnie.

„Jest nas tu z okrętu „Ruryk“ 24, z armii Kuropatkina 47, a z Portu Artura 73. Mieszkamy wszyscy w japońskiej świątyni. Mieszkanie niezbyt wygodne, chociaż czyste, jest bowiem ciemno i chłodno, bo okna z papieru. Dali nam po dwie kołdry watowane, nocami jednak z zimna trudno wyleżeć. Odzienie mamy stare, po ja-

pońskich żołnierzach, koszule i wierzchnie odzienie kiepskie.

„Co się tyczy religii, nikomu przeszkód nie czynią. Teraz przyjeżdza do nas co dwa tygodnie misyonarz francuski, który odprawia Mszę świętą. Obchodzą się z nami Japończycy dobrze, zarówno oficerowie jak i żołnierze. Nie powiedzą nikomu marnego słowa. W czwartki chodzimy na przechadzki po mieście, a z nami chodzi oficer i 6 żołnierzy. Jadło mamy dwa razy dziennie, chleba trzy funty dziennie, tak, że każdy ma poddostatkiem.

„Dostaliśmy się do niewoli w taki sposób: Z Władywostoku wyszliśmy dnia 10-go sierpnia (roku zeszłego) i na trzeci dzień o 5 rano zobaczyliśmy okręty japońskie. Zaczęli strzelać do nas, a my do nich. Pomiędzy okrętami przelatywały błyskawice. Straszny pocisk uderzył w sam ster naszego okrętu i nie mogliśmy podążyć za „Rossiją“ i „Gromobojem“. Statki te odeszły. Wtedy Japończycy skierowali większy ogień na „Ruryka“, póki nie wystrzelali całej komendy sterowej. Odkręciliśmy upusty i okręt zaczął tonąć, a my rzuciliśmy się do wody. Gdy okręt zatonął o godzinie 2 po południu, zeszły się ze wszystkich stron okręty japońskie i ludzie zaczęli nas zbierać po wodzie.

„Dziwno mi było, żeśmy dopiero co tak silnie do nich strzelali, a oni pomoc dawali bardzo troskliwie. Nawet rannych, którzy byli bez ręki i nogi, wyratowali. — Kończę swoje pisanie, boję się was znudzić czytaniem, bo nieskładnie napisane. Proszę mi jednak wybaczyć, bom się nie uczył pisać w szkole, jeno w domu“.

* * *

Drugi list, pisany 5-go stycznia bieżącego roku przez p. Kawacińskiego z Koziebród w gubernii płockiej, podał *Kuryer Warszawski*. W tym liście podaje p. Kawaciński spis jeńców polskich, oraz tak dalej pisze:

„Dopiero od 5-go grudnia roku zeszłego zostaliśmy pocieszeni przybyciem księdza misyonarza, który bywa u nas co każde dwa tygodnie i odprawia Mszę św. i t. d. Dnia 5-go stycznia mieliśmy szczęście być u Spowiedzi, dnia 6-go stycznia u Komunii świętej. Każdy z nas został zaopatrzony w krzyżyk, i dostaliśmy duży śliczny



Jeńcy rosyjscy w niewoli japońskiej.

obraz św., który umieściliśmy w przytułku naszym. Ksiądz nasz nazywa się J. B. Castanier, jest Francuzem.

Serdecznie wdzięczni wspaniałomyślności Japończyków, jesteśmy zaopatrzeni we wszystko. Ale tęsknota do kraju i rodaków codzień to więcej nas dręczy, tem bardziej, że nie mamy się czem zająć, niema czem zapełnić tak długiego dnia, ażeby nie marnować drogiego czasu i ulżyć naszej tęsknocie. Nie mając atoli żadnego środka, postanowiliśmy serdecznie prosić łaskawą publiczność polską, aby raczyła udzielić nam książek polskich do nauki i czytania, Pana Redaktora zaś prosić, aby był łaskaw naszą prośbę do celu doprowadzić. Z książek najwięcej są pożądane do nabożeństwa, elementarz i samouczek polsko-angielski i niemiecki, lub też choć kilka egzemplarzy gazet. Adres: Japonia. Przytułek jeńców wojennych. Miasto Fukuci ama (Fukuszima) nr. 231. *J. B. Kawaciński.*

Japończycy w marszu.

Pewien Anglik opisuje marsz wojska japońskiego, jak następuje:

„Znaczny oddział dwunastej dywizyi japońskiej zdążał pod Föngjang, ponieważ doszły słuchy, że Rosyanie tam Japończykom bitwę wydadzą. Piechota posuwała się po 25 mil angielskich dziennie ($8^1/_2$ mili naszej). To dużo, jeżeli się zważy, że wiały wtedy bardzo ostre wiatry północne, zimna panowały okropne, a drogi były złe i lodem pokryte.

Żołnierze nie mieli namiotów. Przy odpoczynkach zatem siadali na zmarzłej lub wilgotnej ziemi, a nocami leżeli przy ogniskach. Żywili się przytem prawie samym ryżem.

Dzielność żołnierzy japońskich okazała się w tem, że pomimo takich mozołów bardzo mało z nich zachorowało. Z moich towarzyszów (pisze ów Anglik) jeden dostał zapalenie płuc, sługa mój trzy dni chorował, mój tłómacz musiał zostać na tyłach, a dwa konie padły. A przecież myśmy mieli lepszą żywność i więcej wygody,

aniżeli żołnierze. Rzeczą godną podziwu było, iż żołnierze tak dobrze trzymali się w marszu.

Jak to wytłómaczyć? Przedewszystkiem tem, iż każdy żołnierz japoński jest ciągle wesoły. To jest najweselszy człowiek na świecie. Ciągle się uśmiecha i zawsze jest grzeczny, choćby był bardzo zmęczony. Pada ze znużenia, a na twarzy jego uśmiech.

Taki wysoły żołnierz sam jest kontent i towarzyszów ukontentowaniem napełnia. Wesołość serca, to zaiste najlepsze lekarstwo, a wesoły żołnierz najrzadziej potrzebuje lekarza.

Drugą przyczyną nadzwyczajnie dobrego trzymania się żołnierzy, jest pewność doskonałej opieki ze strony władzy wojskowej. Żołnierze wiedzą, że pożywienia im nie zabraknie; wiedzą, że choćby nie wiedzieć gdzie byli i zachorowali, opiekę lekarską będą mieli, bo lekarzy dużo, a lazarety wybornie urządzone.

Dlatego żołnierze japońscy dokazują rzeczy nadzwyczajnych i w marszach i w bitwach.

Porządek w wojsku jest tak wielki, że wszystko idzie, jak po sznurku, a całe wojsko podobne jest do dobrze naolejonej maszyny, pracującej równo, gładko, bez zgrzytu.

Takiego wesołego i dzielnego żołnierza, jak Japończycy, trudno znaleść drugiego we świecie“.

KROWA UBOGICH.

Kozę nazywają dość często i słusznie „krową ubogich“. Koza należy do bardzo pożytecznych zwierząt domowych i zasługuje na to, aby ją na równi z innemi zwierzętami domowemi hodować, pielęgnować i szanować.

Jeżeli zważymy stosunek wielkości ciała i stosunek potrzebnej dla wyżywienia paszy, to okaże się, że kozy o wiele są pożyteczniejsze od krów. Liczy się, że dwie kozy dadzą tyle mleka, ile go da jedna krowa; zjeść jednak tyle nie zdołają.

Jeżeli jeszcze zważymy, że koza zadawalnia się lichszem pastwiskiem, że zjada chętnie twarde osty, łopiany, wyrosłe badyle, łopuchy, bylice, i t. p. chwasty, których

krowa nie ruszy, to przez to samo już hodowla kóz sama się zaleca.

Ileż to razy zdarza się, że gospodyni na kilku morgach roli radaby trzymać kilka krów, aby przecież z mleka i gospodarskie wydatki opędzić i dzieciom przyodziewku na zimę kupić. Tymczasem gospodarz radby znowu wszystką rolę obsiać, boć z czegóżby podatki i procenta opłacił!

I tak bywa najczęściej, że biedne krowy po rowach i przydróżkach paść się muszą i z utęsknieniem wyglądają żniw, aby przecież choć na ścierniskach głód zaspokoić i zapomnieć o zimowej biedzie.

O ileż byłoby to praktyczniej i korzystniej, gdyby tych krów było o połowę mniej, i w miejsce ich, aby tacy gospodarze hodowali kozy! One i mniej paszy potrzebują i łatwiej jej sobie poszukają i lepiej każde pastwisko zużyją, gdyż bynajmniej nie są wybredne.

Hodowla kóz żadnych nie przedstawia trudności. Młode koźlę, przeznaczone na chów, powinno przez sześć tygodni ssać matkę, a ponieważ z natury jest ciekawe i wściubskie, więc też w tym czasie samo jeść się nauczy. Przez lato chodzi na pastwisko razem z innemi, a jesienią do kozła dopuszczone, już na przyszłą wiosnę znów młode ma koźlątka, najczęściej dwa. Koźlątka nie przeznaczone do chowu, można już po dwóch tygodniach zabić, a będzie z nich smaczna delikatna pieczeń. Skóry tak starych kóz, jako i młodych koźląt można korzystnie sprzedawać.

Dwie mianowicie reguły zachować trzeba przy hodowli kóz zimą. Pierwsza, żeby miały ciepły chlew, żeby nie były wystawione na przeciągi, gdyż łatwo dostają reumatyzmów. Druga reguła, aby pozwolić im używać ruchu nawet zimą. Nie zmuszać do ciągłego przebywania w ciasnym chlewie, ale gdy niezbyt silne mrozy, wypuszczać na podwórko, gdzie całe dni przebywać powinny.

Zimą jedzą kozy to samo co krowy, a co do ilości, to liczy się, że 6 kóz potrzebuje tyle paszy, co jedna krowa. Bez jednej tylko rzeczy koza obywać się nie lubi, to jest bez ciepłego zimą poidła. Pomaga jej to bardzo do wytworzenia w ciele ciepła, którego potrzebuje dużo. Za taką pieczołowitość okazuje się też bardzo wdzięczną,

gdyż przez całą zimę mleko daje i zaledwie na 3 lub 4 tygodnie przed okoceniem dawać go przestanie.

Dobra koza daje po okoceniu, które najczęściej w lutym lub w marcu przypada, aż do 5 litrów mleka dziennie. Przez lato na dobrej paszy daje zawsze 3 do 4 litrów, a chociaż zimą bardziej jest skąpa, jednakże 1 do 2 litrów zawsze da. Mleko to jest o wiele tłustsze od mleka krowiego, przeto też o wiele więcej wydaje masła.

Dla dzieci i osób słabych, chorowitych, jest kozie mleko zdrowe i pożywne i przez lekarzy bardzo zalecane. Z tego powodu może gospodyniom, blisko miast mieszkającym, ładny przynosić dochód.

Koza jest z natury wesoła, żywa i łagodna; z ludźmi zaprzyjaźnia się łatwo — zwłaszcza też dzieciom okazuje stałe przywiązanie. Młode zwłaszcza koźlątka lubią bawić się z dziećmi — za to i dzieci kochają je bardzo, pamiętają o nich, chronią je przed deszczem, wiatrem, a czasem i karą, kiedy dając folgę przyrodzonemu łakomstwu, koźlątka też szkody narobią. Jest to bowiem może jedyną, ale za to wielką wadą kóz, że bardzo są łakome i ciekawe i zbyt często lubią zjadać to, co bynajmniej dla nich nie jest przeznaczone.

Więc czy to soczyste główki sałaty, czy głowiasta kapusta na zagonach, czy młode pędy drzew, czy nawet kora młodych drzewek, czy kłosiste zboże na polu, lub pachnąca koniczyna — wszystko to, właśnie dlatego, że stanowi owoc zakazany, nęci łakomą kozę, która też zwykle zbyt jest słabego charakteru, aby się oprzeć pokusie. To też „kozioł ogrodnik“ aż nawet przysłowiowym się stał, niby na dowód, że niema nic gorszego, jak takiemu łakomcy nadzór nad ogrodem powierzyć.

Jeszcze o jedną wadę pomawiają kozy, to jest o opór. Mawiają przecież zwykle: „uparty jak kozioł“. Upór bywa atoli wynikiem złego wychowania. Wszakże dziecko dobrze wychowane nigdy upartem nie jest. Zastosujmy zatem tę regułę także i do kóz: postępujmy z niemi łagodnie, statecznie i z miłością, a wtedy i one odwdzięczą nam się ufnością i przywiązaniem, pozbędą się wad swoich, a dadzą nam dużo korzyści i zadowolenia.

Dodać jeszcze trzeba, że do chowu należy zostawiać koźlątka rosłe i silne, i od takich matek, które odznaczają

się wielką wydajnością mleka. Kozioł do rozpłodu używany, powinien być także rosły i zdrowy. Jeden kozioł wystarczy na 24 kóz. W jednym stadzie zawsze tylko jeden kozioł być powinien, gdyż inaczej ciągle są między nimi bitki.

Kozy nie chorują często; wytrzymałe są na zmiany powietrza, na wiatry i deszcze. I do nich jednakże stosuje się ta najważniejsza w hodowli inwentarza reguła: zdrowa pasza przez cały rok, ciepły, nie dziurawy chlew i suche podłoże.

„Krową ubogich“ nazywają zwykle kozę, a rzeczywiście zasługuje ona na to miano w całej pełni. Daje wielkie korzyści, a nie wymaga wiele.

Z Tarnobrzega i z Fragi.

Z Tarnobrzega piszą nam: Celem uczczenia **rocznicy koronacyi** Cudownego Obrazu „Matki Boskiej Dzikowskiej“ odbędą się dnia 6-go, 7-go i 8-go września rekollekcye.

Dnia 8-go września, w samą rocznicę koronacyi, odprawi uroczystą Sumę Najprzewiel. ks. Biskup-sufragan Fischer z Przemyśla, a zarazem udzielać będzie Sakramentu Bierzmowania. Na tę uroczystość zapraszają OO. Dominikanie w Tarnobrzegu wszystkich pobożnych czcicieli Maryi.

Z Fragi (w powiecie rohatyńskim) donoszą OO. Bernardyni, że dnia 15-go sierpnia 1904 r. przeniesiony został uroczyście **Cudowny obraz** Matki Boskiej z klasztoru OO. Bernardynów z Brzeżan do nowego kościoła OO. Bernardynów we Fradze, i że odtąd odpusty odbywać się będą jak dawniej, a szczególnie: w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przez ośm dni, (to jest od 14 do 22 sierpnia) i w Uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny od 8 do 15 grudnia.

Zapowiedź głodu w Rosyi.

Do wielu klęsk, które obecnie trapią Rosyę, przybywa jeszcze jedna i to bardzo groźna klęska: widmo

głodu w kilku guberniach rosyjskich. I tak: w guberni wiackiej jest tylko kilka miejscowości, w których ozime żyto obrodziło. W gubernii kazańskiej stan zbóż ozimych w 9-ciu powiatach jest bardzo zły. Oprócz tego groch, bób i soczewica zniszczone zostały przez szkodników.

W gubernii saratowskiej oczekują zupełnego nieurodzaju zboża i wszystkich traw pastewnych. Już obecnie napływają do rady miejskiej w Saratowie prośby o zapomogi.

Z gubernii samarskiej nadchodzą jeszcze gorsze wieści. Straszna susza, jaka tam trwała całe lato, sprowadziła zupełny nieurodzaj. Wszystkim miejscowościom położonym za rzeką Wołgą grozi głód. Zboża są tak rzadkie i takie małe, że można je będzie używać tylko jako paszę.

W gubernii tambowskiej budzi poważne obawy zbiór zbóż ozimych i jarych; w gubernii stawropolskiej długotrwała susza tak wypaliła zboża, że w końcu maja sprzątnięto je na paszę. Wogóle brak deszczu i upały zniszczyły doszczętnie zboża, i obawiają się głodu. jak to było już w roku 1891.

Rzewna chwila.

Pewnego niedawnego dnia na jednym z publicznych ogródków w Warszawie pracowało kilkanaście osób, a wśród nich staruszka wyrobnica. Nagle do ogrodzenia zbliżył się młody żołnierz, zaczął przyglądać się pracujacym kobietom i na jedną z nich zawołał: „Matko!“

Staruszka drgnęła, zerwała się z miejsca i pobiegła ku żołnierzowi z krzykiem: „Franek mój, Franek“. W jednej chwili oboje: matka z synem, schwycili się w objęcia i stali tak długo, długo. Starowina głaskała ogorzałą twarz żołnierza, syn całował jej ręce... Posypały się urywane zdania: „Synuś — żyjesz!... Myślałam, że cię nie zobaczę! A to co? Jezu! Ranny! Urwany kawał brody... Czy boli cię?...“

Zebrała się gromadka przechodniów, potem niemal tłum... A oni oboje stali, nie widząc nikogo, wybuchając urywanemi słowami i — płaczem. Trwało to dobre pięć minut — a z oczu otaczających przechodniów wycisnęło nie jedną łzę rozrzewnienia... Nagle lunął deszcz... Gro-

madka rozpierzchła się — a oni wciąż stali oboje, nie czując ulewy.

Pokazało się, że żołnierz dopiero co powrócił z wojny. Był szeregowcem w pułku żytomierskim, należącym do dywizyi 11. W bitwie pod Mukdenem dostał postrzał w brodę, który oderwał mu część szczęki. Obecnie po wyleczeniu powrócił i przybywszy do Warszawy, dowiedział się w domu, że matka jest na robocie. Pobiegł więc, aby ją najrychlej powitać.

Przeciw wichrzycielom.

Arcybiskup warszawski ks. Popiel wydał list pasterski do robotników i pracodawców. Dostojny Arcypasterz przestrzega robotników, jako ojciec dziatki swoje, przed agitatorami, którzy robotników ciągle podburzają i do strejków i rozruchów nakłaniają.

Te bowiem strejki i rozruchy sprowadziły wielkie nieszczęście na rodziny robotnicze, bo w rozruchach straciła niejedna rodzina robotnicza ojca, który ją żywił lub pozbawiła go zarobku. „A gdzież byli wtedy ci — pyta się wtedy Arcypasterz — którzy wam zdradziecko mówili o potrzebie waszych ofiar?“ Nie było ich, bo agitatorzy zawsze na czas skryć się potrafią.

W drugiej części listu zwraca się ks. Arcybiskup do pracodawców, przypomina im słowa Ewangelii świętej: «*Godzien jest robotnik zapłaty swojej*“ i wyjaśnia im, że nie tylko mają wynagradzać robotników zapłatą pieniężną, ale powinni mieć ku nim także miłość i sprawiedliwość, i starać się poznać potrzeby i wymagania robotników, gdy te są słuszne.

„Gdy więc ucichnie huragan gniewu“ — woła ks. Arcybiskup do pracodawców — „wyjdźcie naprzeciw nich, idźcie ze słowami miłości, sprawiedliwości i zapomnienia. Uwzględnijcie ich potrzeby, wyrównajcie szczerby, uściśnijcie spracowane ich dłonie: *Brat, który bywa wspomagan przez brata, jest jako miasto mocne.* (Przypow. XVIII. 19). Na tę drogę pojednania ja Was błogosławię: W Imię Ojca i syna i Ducha świętego. Amen“.

† *Wincenty*, Arcybiskup warszawski.

BOHATERSKIE CZYNY.

Z Niska piszą: Dnia 30 czerwca bież. r. kąpało się w rzece Sanie wiele osób, a między niemi trzech młodzików — którym zachciało się udawać — pływaków. Ci młodzieńcy na głębokiej i wezbranej rzece urządzili sobie wyścigi w pływaniu na drugi brzeg (koło 500 kroków). Kiedy już byli dalej niż w połowie Sanu, z brzegu usłyszano krzyk. Odważni młodzieńcy osłabieni długiem pływaniem i wśród wiru na bezdennej głębinie — zaczęli tonąć, wołając ratunku. Jedna jeszcze chwila, a fala ciągnąc osłabionych do dna — byłaby niewątpliwie pochłonęła wszystkich, bo już dwóch kilkakrotnie zanurzyło się w wodzie.

Z brzegu widziano, co się dzieje. Jeden okrzyk: „toną!“ — „ratujcie!“ — był hasłem, że dwóch bohaterskich panów, a to p. Tereszczuk adjunkt podatkowy i p. Górnikiewicz kancelista rzucili się w nurty rzeki i popłynęli zagrożonym na pomoc.

Z zapartym oddechem śledzono ruchy dzielnych ludzi — bo głowy tonących znikły z powierzchni wody. — Naraz i nasi bohaterowie zanurzyli się wodzie — chwila straszna — cisza u brzegu. — Wreszcie na powierzchni wody ukazał się p. Tereszczuk, trzymając dwie głowy za czupryny — a po chwili p. Górnikiewicz z trzecim chłopcem. Łódź przewozowa, która pospieszyła na pomoc, ułatwiła dostawienie topielców do brzegu, gdzie dzięki Opatrzności, przyprowadzono ich do życia.

Publiczność z uwielbieniem powitała u brzegu tych zacnych panów, którzy z narażeniem życia własnego uratowali drugich od niechybnej śmierci.

— Podczas pożaru szybu naftowego „Na Grymajle“ w Borysławiu, który powstał od uderzenia pioruna i trwał blisko dwie doby, zaszedł następujący wypadek. Około 15 metrów od palącego się ogromnym płomieniem szybu, stoi żelazny zbiornik, w którym w czasie pożaru znajdowało się się kilkanaście wagonów ropy. Długi czas ropa w nim się nie zajęła, dopiero później wytworzone przez gorąco gazy, eksplodowały zewnątrz zbiornika, przyczem róg dachu został podniesiony.

W tym otworze gazy ropne się zapaliły i bezwątpienia spłonęłaby cała zawartość zbiornika, niszcząc równo-

cześnie także sam zbiornik — gdy nagle z pośród widzów wystąpił nieznany, świątecznie ubrany mężczyzna (było to w niedzielę), szybkim ruchem wyszedł po drabinie na blisko 10 metrów wysoki zbiornik i zdusił czapką powstający płomień. Spełniwszy swój zamiar, rzucił tlejącą się czapkę i znikł. Dotychczas właściciele kopalni nie mogli się dowiedzieć, kto był owym bohaterem, który, narażając się na niechybną śmierć, w razie gdyby w owej chwili nastąpiła eksplozya reszty ropy, ochronił cudze mienie od zagłady, bez zgłaszania się o jakiekolwiek wynagrodzenie. Dziś, po kilku tygodniach, jeszcze nie wiadomo, kto był owym robotnikiem i jakie pobudki kierowały nim przy spełnianiu tego czynu szlachetnego i bohaterskiego.

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Jak niszczyć gąsienice. Dobre są różne środki niszczące gąsienice, jednak bez wątpienia nader praktycznym jest ten, którego użył pewien nauczyciel wiejski w Niemczech. Zapowiedział on chłopcom swej szkółki, że za 30 złapanych motyli płacić im będzie po 1 fenigu. Nazajutrz jeden chłopak przyniósł 30, drugi 70 motyli i zaraz zapłatę otrzymali. To się tak malcom podobało, że niektórzy jednorazowo przynosili po 240 motyli, a nauczyciel w ciągu tygodnia wypłacił 86 fenigów. Przyjmując, że jeden motyl tylko 100 jaj składa, przyznać musimy, że nauczyciel ten zniszczył 250 tysięcy motylich gąsienic. Gdyby we wszystkich szkółkach sposób ten zastosowano, niszczonoby rocznie miliony szkodników.

Wielkim rabusiem pszczół jest **szerszeń,** bo wyławia je na kwiatach w polu, a także napada na nie, kiedy obładowane miodem i pyłkiem kwiatowym powracają do ula, wciska się nawet do ulów, skąd miód i pszczoły porywa. Każdy pasiecznik powinien się starać szkodnika tego o ile możności tępić. Kto z wiosną zabije samicę szerszenia, zniszczy całą przyszłą kolonię, która liczyłaby kilkaset sztuk.

Jak spasać siano zmulone? Doświadczenie wskazuje, ze ziemia zjadana przez bydło, w małej ilości, nic mu

nie szkodzi, widzimy też w lecie, że bydło, konie, owce liżą i zjadają ziemię z pod ścian i okapów. Przeciwnie kurz i prochy są bardzo szkodliwe dla organów płucnych, przeto zmułone siano musi być nie tylko dokładnie z kurzu wytrzepane, ale powinno się je rznąć na sieczkę, dobrze skropić wodą z dodatkiem małej ilości soli. Taką sieczkę można dawać bydłu i koniom. Doświadczony gospodarz nawet owsa nigdy koniom suchego nie daje, ale zawsze go kropi wodą, gdyż tym sposobem nie tylko kurz nie szkodzi, ale pasza zmięknie i stanie się strawniejsza.

Źle jedzącym koniom należy dawać pokarm w dawkach bardzo małych. Zwierzętom takim wsypuje się owies garściami do żłobu i zmusza je w ten sposób zjadać porcye coraz większe. Bardzo odpowiednim jest ten sposób postępowania u takich koni, które pomału jedzą, pokarm do żłobu włożony żują, ale go nie zjadają. Pokarm należy podawać w następującym przypadku: owies, siano, woda. Owsem zaspakaja się najpierw głód, a podczas, gdy tenże w żołądku przerabiany bywa, je koń zwolna siano. Niewłaściwą rzeczą jest zaraz po owsie dawać wodę, ponieważ wtenczas znaczna jego część jako nieprzetrawiona bywa z żołądka wypłukaną. Wodę należy przeto podawać zawsze na końcu.

ROZMAITOŚCI.

Koguty japońskie. Mała Japonia, ojczyzna bohaterów, których męstwo podziwia teraz świat cały, słynie też z bogactwa, rozmaitości i rozmaitych dziwów przyrody. Od przecudnych kwiatów, wobec których nasze są tylko bladym ich odblaskiem, aż do przedziwnych ziemiopłodów, wszystko to wprawia w zdumienie ludzi, którzy się teraz bliżej zainteresowali krainą Wschodzącego Słońca. Do takich dziwów należy między innymi drób japoński. W Szinowasi istnieją koguty, których ogony mierzą do 3 metrów długości. Na taki ogon składa się mniej więcej 16 piór, które dorastają w przeciągu dwóch lat. Koguty owe bywają myte dwa razy na miesiąc w ciepłej wodzie. Sadza się je potem na podwyższeniu n. p. na dachu i ktoś ze służby wyciera.

Apetyt u ptaków. Gdyby człowiek mógł jeść odpowiednio do objętości swego ciała tyle, co wróbel, musiałby spożywać dziennie po dwa tuziny kurcząt, 6 indyków i jedno jagnię, wszystko to rozdzielone na trzykrotne dania. Wróbel zjada około 700 ziarnek w ciągu 24 godzin. O ile ptaki potrzebują więcej stosunkowo od

człowieka pożywienia, o tyle też są wytrzymalsze od niego w pracy. Obliczono, że ptak w czasie gniezdżenia się wylatuje z gniazda około 1000 razy na dzień, by szukać żeru dla swych młodych; unosi zaś ciężary mało co lżejsze od niego samego.

Kara cielesna w Danii. W komisyi sejmowej, wybranej dla obrad nad sprawą zaprowadzenia kar cielesnych za pewne rodzaje zbrodni, zwłaszcza przeciw obyczajności, na 15 członków komisyi, tylko pięciu było przeciwnych zaprowadzeniu kar cielesnych, większość zaś oświadczyła się za niemi. Posłowie z większości zaznaczyli, że należy zaprowadzić kary cielesne, bo tylko one mogą powstrzymać rosnące zbrodnie gwałtu i zbrodnie przeciw obyczajności.

Mięso końskie. W Paryżu (stolicy Francyi) zbudowano już drugą rzeźnię końską, gdzie zabijają konie, a mięso sprzedają potem w osobnych jatkach. Ubożsi mieszkańcy Paryża chętnie spożywają mięso końskie, mule i ośle. Z powodu otwarcia tej drugiej rzeźni końskiej odbył się bankiet, którego wszystkie potrawy złożone były z mięsa koni, mułów i osłów, w najrozmaitszy sposób przyrządzonego.

Nieszczęśliwe podobieństwo. Przed kilku laty zasądzono w Londynie na długoletnie więzienie niejakiego Adolfa Becka, Szweda, który dopuścić się miał wielu olbrzymich oszustw. W czasie odsiadywania przezeń kary, okazało się, że oszustwa te popełnił kto inny, podobny do Becka, jak dwie krople wody. Wobec tego niewinnie więzionego Szweda uwolniono, a jako wynagrodzenie za kilka lat cierpień, przyznano mu sumę około 130 tysięcy koron.

Życie bez mózgu. Uczeni badacze przyrody piszą, iż żółw może żyć jeszcze 3 miesiące, choć się go całkowicie pozbawi mózgu. Serce zaś żółwia wyjęte z niego żyje jeszcze przez 50 minut.
